

Strona główna » O Białolecie » Przewodnik historyczny » Historia Białoleki i jej dzień dzisiejszy » Nauka i konspiracja »

Janina Knyż z domu Nowak, pseudonim "Bożena", w latach okupacji hitlerowskiej kolporterka prasy podziemnej i łączniczka Komendy Obwodu Batalionów Chłopskich na rejon Warszawa Prawobrzeżna, po wojnie sekretarz Zarządu Głównego Ogólnopolskiego Związku Żołnierzy BCh.

Urodziłam się 22 grudnia 1925 r. w kolonii Białoleka gmina Bródno, w rodzinie działaczy ludowych Józefa Nowaka i Marii Ludwiki z domu Królikowskiej. Rodzice byli właścicielami posiadłości, których część "Kolonja Nowakowianka" graniczyła z kolonią Ugory. Było to gospodarstwo specjalizujące się w uprawie warzyw i kwiatów. Rodzice byli również właścicielami wiatraka, który znajdował się w pobliżu domu. Tata pełnił funkcję agronoma i członka rady w gminie Bródno przy ul. Tykocińskiej.

Podczas okupacji hitlerowskiej moi rodzice, będący działaczami ruchu ludowego, wstąpili do organizacji Bataliony Chłopskie. Józef Nowak był przewodniczącym Trojki Politycznej Stronnictwa Ludowego "Roch" na gminę Bródno i Marki.

Nasz dom rodzinny stał otworem dla wszystkich będących w potrzebie. Dla żołnierzy BCh, Żydów szukających schronienia, mieszkańców Warszawy uciekających przed bombardowaniami czy szukających pożywienia. Tu odbywały się spotkania i narady działaczy ruchu ludowego i dowódców BCh. Majątek nasz był wielokrotnie grabiony.

We wrześniu 1939 r. przez okupanta niemieckiego, a od września 1944 r. przez Rosjan. W chwili, gdy dom nasz znalazł się na pierwszej linii frontu i został zajęty przez sztab wojsk okupacyjnych zostaliśmy z niego wysiedleni. Mieszkaliśmy na plebani kościoła w Kobyłce. Po powrocie do domu we wrześniu 1944 r. zastaliśmy całkowicie ogołoczone gospodarstwo. Zagrabiono dosłownie wszystko pozostały wyłącznie budynki.

W 1932 r. zaczęłam chodzić do szkoły powszechnej. Do pierwszej klasy na Starym Bródnie, gdzie kierownikiem był Serafin, a później Józef Kawecki. Od drugiej klasy do szkoły powszechnej nr 65 na Nowym Bródnie przy ul. Bartniczej. Był to duży drewniany budynek, w środku którego znajdowała się duża sala gimnastyczna, a z niej prowadziły drzwi do wszystkich klas. Charakterystycznym było to, że nie chodziliśmy w "kapciach". Miało to dobre i złe strony. Dobre, że na każdą przerwę wybiegaliśmy na boisko, czego zazdrościli nam uczniowie ze szkół 128 i 150. Złą stronę odczułam na własnej skórze.

Do szkoły chodziłam 3 kilometry polnymi drogami i ulica Białoleką, która nie była wybrukowana. Pewnego dnia przyszłam w zabłoconych butach i zostałam wyrzucona z klasy Wyszłam do szatni i zwyczajnie beczałam. Na szczęście obecni tam chłopcy ze starszej klasy, zdjęli mi buty i oczyścili. Mogłam wrócić na lekcje. Do dzisiaj jestem im za to wdzięczna.

Jako dobra uczennica, skorzystałam z okazji, i w 1938 r. po ukończeniu 6-tej klasy szkoły powszechnej, zdałam egzamin do prywatnego 4-letniego gimnazjum i 2-letniego liceum handlowego w Warszawie przy u. Szerokiej 38 (róg Targowej). Szkoła mieściła się w prywatnej kamienicy i zajmowała drugie i trzecie piętro.

Niestety, po ukończeniu pierwszej klasy wybuchła wojna. Niemieckie władze oświatowe zakazały prowadzenia szkół średnich (gimnazjum, liceum, technikum) oraz wyższych uczelni. Polacy mieli być tylko robotnikami pracującymi dla "nadludzi". W takiej sytuacji dyrektor Aleksander Lipa zarejestrował naszą szkołę jako "Prywatne kursy handlowe" (Privat Handelkursus).

Szkoła miała być prowadzona jako jednoroczne kursy z programem władz okupacyjnych. Prowadzona była jednak według przedwojennego programu gimnazjum i liceum handlowego. Poza oficjalnymi przedmiotami mieliśmy wykłady z języka polskiego, angielskiego, historii, geografii, matematyki, ekonomii i prawoznawstwa.

Warunki nauki były bardzo trudne. Brak książek do "zakazanych" przedmiotów i do literatury zastępowały wykłady, które stenografowaliśmy. Na stołach leżały zawsze książki i zeszyty do "legalnych" przedmiotów oraz notatniki do przedmiotów "nielegalnych". Taka sytuacja stwarzała ogromne zagrożenie zarówno dla nas, jak i profesorów.

Od czasu do czasu zdarzały się inspekcje okupacyjnych władz oświatowych. Ostrzeżeni przez kogoś z personelu, szybko chowaliśmy notatniki i wyjmowaliśmy książki do "legalnych" przedmiotów zgodnych z planem lekcji. Na szczęście "wpadki" nie było.

Do naszej szkoły chodziła dziewczyna, która spotykała się z Niemcem. Nie mogły być wówczas prowadzone "zakazane" lekcje. Zadowolone byłyśmy, gdy wyjrzała przez okno, zobaczyła Niemca spacerującego po ul. Targowej i zawołała "Hans, ich gehe schon" (już idę) zabierała manatki i wychodziła. Oddychaliśmy z ulgą. Dobrze, że nie była pilną uczennicą.

Życie w Warszawie było trudne i niebezpieczne. Codzienne łapanki i aresztowania gnębiły nas wszystkich. Listy zakładników i osób rozstrzelanych coraz częściej ukazywały się na murach domów. Już 27 grudnia 1939 r. Niemcy rozstrzelali w Wawrze 107 niewinnych osób. Równocześnie na murach pojawiły się napisy: "Polska walczy", "Pomścimy Wawer", "Hitler kaput" i inne oraz pośpiesznie narysowane kredą lub farbą olejną szubienice z zawieszonymi swastykami. Zastanawiałam się, kto to robi i zazdrościłam im. Dlaczego nie mogą do

nich należeć?

Aż przyszedł pamiętny dzień 15 lipca 1941 r., kiedy kolega Marian Knyż wprowadził mnie do prywatnego mieszkania p. Walerii Haze, znajdującego się obok sklepu kolonialnego przy ul. Pobożańskiej 20 w Warszawie. Był tam punkt kontaktowy Ruchu Ludowego i BCh, z którego korzystaliśmy do końca okupacji. Tam złożyłam przysięgę na ręce miłego pana (Stanisława Kotka-Agroszewskiego).

Słowa przysięgi dla 15-letniej dziewczyny były bardzo trudne. Zapamiętałam tylko: "Powierzonych mi tajemnic nie ujawnię przed nikim, nawet przed najbliższymi osobami. W wykonaniu rozkazów oraz w zachowaniu powierzonych mi tajemnic nie powstrzyma mnie nawet groza utraty życia. Tak mi dopomóż Bóg".

Po złożeniu przysięgi pan polecił mi nazywać siebie "Wujciem", ja natomiast przyjął pseudonim "Bożena". Od razu otrzymałam polecenie kolportażu prasy konspiracyjnej. Funkcję tę pełnił dotychczas Marian Knyż, który dostał rozkaz zorganizowania oddziału specjalnego i jako 17-letni chłopak został jego dowódcą na gminę Bródno i Marki.

Nareszcie! Nagle poczułam się bardzo dorosła, chociaż miałam zaledwie 15 i pół roku.

Młodzież w tym czasie szybciej dojrzewiała, dlatego nawet kilkunastolatki włączały się do walki z okupantem.

Pierwszym moim zadaniem było przewiezienie prasy z pl. Trzech krzyży. Czekałam na przystanku. Znakiem rozpoznawczym była trzymana w ręku gazeta. Jakiś mężczyzna mnie obserwował, nagle podszedł, wymieniliśmy hasło i bez słowa przekazał mi paczkę zawiniętą w papier i przewiązaną sznurkiem. Wsiadłam do tramwaju i zdziwiłam się, gdy starszy pan ustąpił mi miejsce siedzące. Pasażerowie byli oburzeni, że wyróżnił taką "Smarkulę".

Paczkę położyłam pod ławkę i szczęśliwie dotarłam na miejsce docelowe. Wydaje mi się, że był to ktoś z naszej organizacji, który sprawdzał moją przydatność do tak odpowiedzialnej pracy. Pewnie egzamin zdałam pomyślnie, gdyż prasę "Żywią i bronią", "Przez walkę do zwycięstwa", "Biuletyn informacyjny" i inne odbierałam z różnych punktów: z pl. Trzech Krzyży, pl. Zamkowego, ul. Targowej, Konarskiego, Pivnej i Koszykowej.

W prasę zaopatrywałam Bródno, Nieporęt oraz swego tatę. Wiadomości były różne. Czasami płakaliśmy nad dolą Polaków rozstrzelanych i męczonych w obozach koncentracyjnych, na Pawiaku czy w al. Szucha. Czasem cieszyliśmy się na wiadomość o udanych akcjach zbrojnych przeciwko okupantowi, albo wówczas, gdy Niemcy pod Stalingradem dostawali w "kuper".

Mama niejednokrotnie pytała: skąd są "gazetki"? Nigdy nie otrzymała odpowiedzi. O tym dowiedziała się dopiero po zakończeniu wojny.

Poza kolportażem prasy rozkazem komendanta obwodu BCh Stanisława Wacholskiego "Kreta" i komendanta BCh Tadeusza Makowskiego "Czarnego" przenosiłam i przechowywałam broń i amunicję oraz wykonywałam inne rozkazy.

Funkcje te pełniłam od lipca 1941 r. do zakończenia wojny.

Niejednokrotnie musiałam iść z prasą do szkoły. Wkładałam ją wtedy do kosza od śmieci i prosiłam woźnego, by z niego śmieci nie wyrzucał. Na pewno domyślał się o co chodzi. Prasa leżała bezpiecznie do mojego wyjścia.

W 1943 r. Niemcy zabrali nam jedno piętro i wprowadzili się. Z takim sąsiedztwem nauka w szkole była jeszcze bardziej niebezpieczna. Zaczęliśmy uczyć się na dwie zmiany.

Któręś dnia Niemcy aresztowali kilkoro młodzieży. Część zwolnili (dzieci policjantów, tramwajarzy, kolejarzy). Dwóch kolegów wysłali do obozu w Austrii, koleżankę zamordowali w Oświęcimiu, aresztowali też prof. A. Znanieckiego, który nigdy nie wrócił.

Latem 1943 r. koleżanka z AK zaproponowała mi uczestnictwo w kursie sanitarno-medycznym. Kurs odbywał się w każdy czwartek w prywatnym mieszkaniu w Warszawie przy ul. Mokotowskiej. Ukończyłam również kurs wyszkolenia bojowego i posługiwania się bronią, zorganizowany przez AK. Kurs odbywał się w niedziele w mieszkaniu prywatnym przy ul. Radzywińskiej.

Terror w Warszawie nasilał się z dnia na dzień. Zagrożenie było coraz większe. Codzienne łapanki, rozstrzelania. Na murach domów coraz częściej ukazywały się listy zakładników i obwieszczenia o egzekucjach.

W czasie łapanki członkowie organizacji podziemnej wychodzili z bramy, zatrzymywali tramwaj przed zagrożonymi ulicami i ostrzegali pasażerów. Wszyscy, którzy nie mieli "pewnych" dokumentów opuszczali tramwaje tak, że w strefę łapanki jechały prawie puste.

Niestety, nie zawsze ostrzeżenie następowało w porę. Byłam i ja w takiej sytuacji. Wracałam ze szkoły, tramwaj zatrzymali na ul. 11 Listopada. Wszystkim pasażerom kazali opuścić wagony. Niemcy dokładnie legitymowali. Część zwalniali. Innych kierowali do stojących opodal "bud". Jakiś mężczyzna usiłował zbiec. Doskoczył do niego żandarm i bił, aż do utraty przytomności. Jechałam z prasą. Chcąc wiedzieć wcześniej co mnie czeka, podeszłam do żandarma, pokazałam legitymację szkolną.

Niestety, żandarm nakazał mi, abym poszła do grupy osób odstawionych do zabrania. Szybka decyzja. Skorzystałam z tego, że była jeszcze duża grupa osób nie legitymowanych, wmieszałam się i podeszłam do drugiego Niemca. Spojrzał na legitymację i puścił mnie wolno. Z duszą na ramieniu i na "drewnianych" nogach odchodziłam pod tunel na ul. Św. Wincentego. Nie biegłam, żeby nie zwrócić na siebie uwagi. W każdej chwili spodziewałam się słowa "halt" lub strzału w plecy. Dopiero za tunelem, gdy mnie już nie widzieli, odzyskałam władzę w nogach. Pobiegłam do najbliższego domu, zapukałam do jakiegoś mieszkania i tam przeczekałam do końca łapanki.

Kontrole odbywały się również w jadących tramwajach. Wsiadali żandarmi, blokowali drzwi, sprawdzali dokumenty i rewidowali pasażerów. Byłam z paczką prasy w środku wagonu. Struchlałam. Sprawdzają zawartość toreb, kieszeni, dokumenty. Jakaś kobieta wiozła ziemię do kwiatów. Wysypują i rozgarniają buciorem. Inna wiozła drewno na rozpałkę. To samo. Teraz kolej na mnie. Pokazuję legitymację szkolną i niby mocując się z zamkiem teczki najśłodszy głosem po niemiecku pytam, czy chce sprawdzić zawartość teczki. Odetchnęłam, gdy usłyszałam: "danke schön" (dziękuję). Udało się.

Wysiadając z tramwaju na Bródnie, wpadłam znowu w łapankę pod kinem "Klub", ale w porę się zorientowałam, skręciłam w boczną ulicę i okrężną drogą, zadowolona, wróciłam do domu.

W czasie okupacji powszechną była zasada "by nie chodzić do kina". Niestety, nie wszyscy wyznawali tę zasadę. Któregoś dnia dwie koleżanki i kolega wybrali się do kina przy ul. Inżynierskiej. Drogo za to zapłacili. Niemcy pod kinem zorganizowali łapankę. Wszyscy zostali zabrani. Koleżanki zawieziono do punktu zbiorczego przy ul. Kijowskiej, skąd wywożono na roboty do Niemiec.

Czekając na przesiadkę po przekroczeniu "Generalnej Guberni", poprosiły konwojującą Niemkę o wyjście do toalety. Zostawiły bagaże i wyszły na peron. Na szczęście spotkały polskiego kolejarza, który pomógł im i w lokomotywie przywiózł do Warszawy. Pokazały się w szkole, ale do końca wojny musiały się ukrywać. Nauka dla nich się skończyła. Kolega wywieziony został do obozu, usiłował zbiec z pociągu. Niestety, został przeszyty serią z karabinu maszynowego. Rodzice sprowadzili zwłoki 22-letniego jedynaka. Byliśmy na jego pogrzebie na Bródnie.

Niewiele brakowało, bym i ja podzieliła los swoich koleżanek. Czekałam na tramwaj na ul. Wileńskiej. Nie zauważyłam łapanki. Ostrzegł mnie nieznajomy chłopiec, któremu udało się z niej wyrwać. Wsiadłam do pierwszego nadjeżdżającego tramwaju i dotarłam do domu. Tego dnia zatrzymany został mój tata Józef Nowak i wywieziony na Pawiak. Uratował go dokument z Arbeitsamtu stwierdzający, że pełni funkcję agronoma. Wieczorem wrócił do domu i gdy nie zastał mnie, był pewien, że "wpadłam". Wróciłam szczęśliwie, późnym wieczorem. Znowu się udało.

W okresie nasilenia łapanek ulicznych, czasem traciłam kontakt z łącznikiem. Czekałam w oznaczonym miejscu i czasie, a łącznika nie było. Trzeba było od nowa nawiązywać kontakt. Niektórzy wycofywali się z pracy. Po prostu się bali. Jadąc z prasą, czy z bronią byliśmy szczególnie narażeni na utratę życia. Nigdy nie wiedzieliśmy czy wrócimy do domu. Tylko odporni psychicznie mogli w takiej atmosferze podejmować pracę konspiracyjną.

Pod koniec 1943 r. Niemcy zabrali nam drugie piętro. W tej sytuacji zostaliśmy przeniesieni do innych szkół. Część klas na Saską Kępe, część na ul. Brzeską 9, gdzie po 6 latach nauki w 1944 r. zdałam "dużą" maturę.

Przez jakiś czas odbierałam prasę na ul. Targowej przy bazarze Różyckiego. Wiedziałam tylko tyle, że kobieta będzie ubrana w zielony płaszcz, zielony берет i będzie wysiadała z tramwaju "4". Wracając ze szkoły czekałam z koleżankami na przystanku. Gdy zobaczyłam łączniczkę, odeszłam na chwilę, odebrałam prasę i włożyłam do teczki. Gdy wsiadłam do tramwaju zrobił się "sztuczny tłok", odpieli mi teczkę i skradli prasę.

Kiedy poza miastem spotkałam łącznika, stwierdziłam, że nie mam prasy. Musiałam się tłumaczyć przed dowództwem, ale cieszyłam się na myśl o tym, jakie miny mieli złodzieje, kiedy w melinie zobaczyli swój łup. Od tej pory prasę związałam w rulon i wkładałam w rękaw. Stojąc na otwartym pomoście w chwili zagrożenia mogłam wysadzić rękę na zewnątrz i wypuścić prasę na ulicę. Nigdy do takiej sytuacji nie doszło.

W tramwajach pierwszy pomost i dwie ławki były oddzielone od reszty wagonu i przeznaczone dla Niemców (nur für Deutsche). Niejednokrotnie jadąc z prasą siadałam obok Niemca i jechałam bezpiecznie, chociaż pasażerowie Polacy obrzucali mnie pogardliwym spojrzeniem. Starłam się nie zwracać uwagi uważając, że wszystkie środki ostrożności zmierzające do celu są dobre. Mogłam sobie na takie wybiegi pozwolić, gdyż dobrze mówiłam po niemiecku.

W pewnym okresie Niemcy uruchomili tylko dla siebie tramwaj "0"; jeździł na okrągłym moście Kierbedzia (Śląsko-Dąbrowski) i Poniatowskiego. Warszawiacy nie przepuścili takiej okazji i mówili, że największy smród jest wtedy, gdy mijają się 00.

Któregoś zimowego wieczoru w 1943 r., przyszedł mój tata i oznajmił, że sprowadzi się do nas troje dzieci. Mama nie sprzeciwiała się temu, pomimo że oprócz nas pięciorga, wychowywały się dwie sieroty po zmarłym stryju.

Minął jednak jeden i drugi tydzień, a dzieci nie przybyły. Nikt z nas nie śmiał pytać, dlaczego. Dowiedzieliśmy się dopiero z prasy podziemnej, dostarczanej jak zwykle przeze mnie.

Organizacja BCh zaplanowała odbicie wagonu z dziećmi z Zamojszczyzny, wywożonymi do Niemiec. Odprowadzony wagon z dziećmi na bocznicę był jednak bardzo cichy. Nie było słycać płaczu. Otwarto i o, zgrozo! Były dzieci, ale same trupy! Wiezione w wagonach towarowych, przy kilkunastostopniowym mrozie po prostu zamarzyły. Wtedy dopiero dowiedzieliśmy się co to były za dzieci, i dlaczego do nas nie przybyły.

Były również wydarzenia wznieśli, podtrzymujące nas na duchu. Kiedyś na przykład jadąc do szkoły, czekałam na tramwaj przy dworcu Wileńskim i słyszę jak zwykle, przez popularne "szczekaczki", o wielkich sukcesach armii niemieckiej na froncie wschodnim. Naraz audycja zostaje przzerwana i z megafonu płynie melodia "Warszawianki". Spoglądamy na siebie, mamy łzy w oczach, mężczyźni zdejmują czapki.

Po melodii komunikat, ten prawdziwy, o rozstrzelaniach, mordach, o Pawiaku, al. Szucha, Oświęcimiu i słowa otuchy: "Rodacy! Polska żyje. Polska walczy". Zatrzeszczało w głośniku i znowu popłynęła dobrze nam znana i znienawidzona melodia "Heili, heilo". Zagłuszono resztę komunikatu, ale to, co nasi zdążyli podać wszyscy usłyszeli. O tym wydarzeniu mówiła cała Warszawa.

Niestety, było więcej wydarzeń tragicznych.

16 października 1942 r. idąc do szkoły, ujrzałam przy remizie strażackiej na Bródnie dwie ogromne szubienice, a na nich po pięciu powieszonych mężczyzn. Widok był przerażający. Ciały wisały przez 48 godzin, abyśmy dobrze zobaczyli co nas czeka, jeśli nie zaprzestaniemy walki z okupantem.

17 listopada 1943 r. wychodząc z bramy od dziadka, mieszkającego przy ul. Białołęckiej, z przerażeniem zobaczyłam, że na ulicy stoi kilka ciężarówek i samochodów osobowych z Niemcami. Nie mogłam się cofnąć. Niemcy krzyczą: "Weg, weg!" Poszłam pośpiesznie i za kilka minut usłyszałam serię karabinów maszynowych, a potem drugą, trzecią, czwartą.

Nie wiedziałam co tam zaszło. Około południa szłam do szkoły. Widok straszny, którego nigdy nie zapomnę. Na wprost bramy dziadka stała gromadka ludzi. Podeszłam bliżej, usypana była mogiłka z zakrzepłej krwi zmieszanej z ziemią, na której stały zapalone świece. Ludzie klęczeli, płakali i modlili się. Jakaś kobieta moczyła chusteczkę w tej krwi. Po chwili nadjechał motocykl z koszem. Wszyscy się rozbiegli. Wysiedli Niemcy, zdeptali świece i odjechali. Tę czynność powtarzali kilka razy. W tym miejscu rozstrzelali 40 niewinnych mężczyzn.

Mój dziadek, który z ukrycia obserwował tę masakrę, tak opowiadał o tej egzekucji: "wypędzono z ciężarówki 10 mężczyzn, postawiono pod murem i rozstrzelano. Następna dziesiątka musiała włożyć trupy na samochód i stanąć pod ścianą. Tak zamordowali wszystkich".

Pojechałam do szkoły, ale jak mogłam się skupić na wykładach po takich przeżyciach...

Pewnego dnia z punktu kontaktowego BCh zadzwoniono do szkoły i polecono, abym natychmiast przyjechała. Profesorka zwolniła mnie z lekcji. Niespokojna, pełna najgorszych przeczyć, pojechałam. Zaprowadzono mnie do pokoju, w którym stała jakaś kobieta. Nie wiedziałam co to ma znaczyć. W pewnym momencie kobiet odwróciła się i zdjęła chustkę. Wtedy zobaczyłam że to jest Marian. Wbrew zakazowi, przebrany za kobietę przyjechał do Warszawy. Podał mi adres i zmienione nazwisko na "Kwiatkowski"; ja również podałam adres koleżanki.

Nawiązaliśmy korespondencję. Marian odwiedził rodziców i natychmiast wrócił. Wtedy dowiedziałam się że przebywa u Adolfa Korczaka wiceprzewodniczącego SL "Roch" na pow. grójecki i zatrudniony jest w charakterze praktykanta ogrodniczego. Tam pod dowództwem Antoniego Dębskiego, a później pod dowództwem Zygmunta Golańskiego "Boruty" brał udział w wielu akcjach zbrojnych. 25 stycznia, ranny w nogę, wrócił przez zamarzną Wisłę do Warszawy.

W swoich wspomnieniach starałam się opisać, w jakich warunkach młodzież polska, z narażeniem życia nie tylko swojego, ale i najbliższych, walczyła z okupantem hitlerowskim o wyzwolenie ukochanej Ojczyzny.

Nie zapominaliśmy także o nauce, która odbywała się nielegalnie w bardzo trudnych warunkach. Uzyskiwaliśmy matury i wyższe stopnie naukowe, wierząc, że wojna wkrótce się zakończy, a Polska będzie potrzebowała wykształconych obywateli do odbudowy zniszczonego kraju.